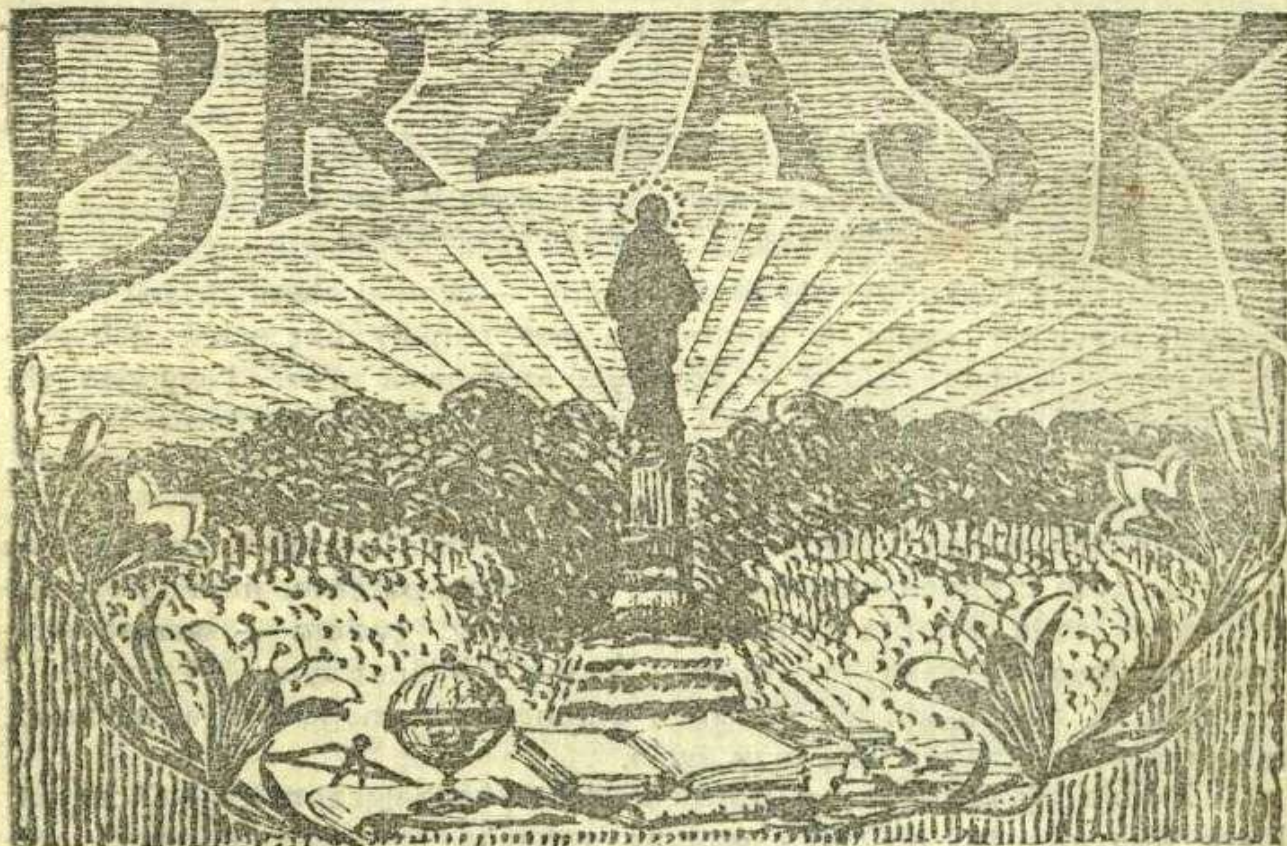




Dwumiesięcznik uczennic Seminarjum Nauczycielskiego w Marjówce.

DO KOLEŻANEK W ŚWIECIE.

Myśl o Bożem Narodzeniu nasuwa przypomnienie sto-
łu wigilijnego, jakiegoś ciepła rodzinnego, i mimowoli cofa
nas wstecz, gdzie byliśmy o tej porze rok, dwa lata temu.
I Wasza myśl z pewnością zahaczyła o dawną Waszą szko-
łę, gdzie to liczy się godziny do świąt i na pięć dni przed
wyjazdem już wszystkie rzeczy zapakowane. Niby to było nie-
dawno, a już przeszło bezpowrotnie: minęły hałaśliwe wy-
jazdy ze szkoły i jeszcze głośniejsze przyjazdy; minęły te
czasy, kiedy dom rodzinny był ośrodkiem wszystkich Wa-
szych westchnień. Dziś może te westchnienia są rozszcze-
pione. Ale chyba zawsze znajdzie się w Waszym serduszk
kącik dla dawnej szkoły. Do tego właśnie kącika apeluje
„Brzask,” śląc Wam, Drogie Koleżanki, snop życzeń świetla-
nych, jak snop światła; snop życzeń przy oplatku wigilijnym,

aby praca Wasza dużo Wam dawała zadowolenia i aby w niej zawsze, mimo oziębien żywiołowych, był brzask ideału.—

Redakcja.

POWITANIE ODZYSKANYCH ZIEM.

(powyższe przemówienie wygłosiła ucz. kursu V Fela Stalikówna na Akademji z racji 10-lecia niepodległości).

Grobowca rozkruszył się głaz! Wolni, — wolnej ziemi dzieci! Trudy naszych braci nie poszły na marne, nie przebrzmiały bez echa. Ich praca, ich krew wydała owoce — skruszyła grobowca głaz. I wyrwa się pieśń potężna, pieśń wielka, pieśń wolności, szczęścia i powitania.

To, co stracone, wróciło, nie zginęło! Dziś dziesięciolecie złączenia, dziesięciolecie zerwania pęt, dziesięciolecie — wolności.

Shczęścia uderzył dzwon nad znękaną ziemią naszą. I rozbrzmiewa znów do tych czterech krańców, które jak bazyliki potężne, nieugięte i niezłamane stoją, a które są podstawą Ojczyzny, życiem — wszystkim! Bo czem byłaby Polska bez morza, Śląska, Wileńszczyzny i Lwowa?... Niedosć, że skrawkiem, ale nędznym organem nie mogącym wegetować, nie mogącym utrzymać się przy życiu.

Ziemię wy nasze! czem jesteście dla tej kochającej matki—Ojczyzny, która Was wita, tuli do serca, pragnie waszego szczęścia — odczuwacie z pewnością same. Bądźcie więc pozdrowione dziś w święto Dziesięciolecia, w święto powrotu!

O, dzielności niesłychana i wiara ludu lwowskiego! Chyłą się ze czią przed Twojem bohaterstwem wszystkie sztandary miast polskich i okrzyk podziwu rozlega się nietylko po ziemiach naszych za ten rycerski czyn polskich dzieci. Chwila ta będzie w Polsce zawsze sławną, świętą. — Chwila zerwania się do boju Lwowa bez wojska, bez bronii! O cześć wam, bohaterzy, bracia nasi. Czyny wasze więcej podobne do czynów legendarnych, niż do prawdy. A jednak my wiemy, że to nie była legenda. Dzieci zdobywają miasto!

Bądź pozdrowiona i Ty Ziemi Wileńska, Ty, co kulturą polską jesteś przepojona, co zrosłaś się z tem, co polskie, nasze — z tym dorobkiem duchowym, cywilizacją. A chociaż rdzennie jesteś ziemią litewską, to jednak ducha masz polskiego. I duch ten wypowiedział się przez usta sejmiku dn. 20 lutego 1922 r., że chce należeć do tej ziemi, z której wziął początek. Bądź pozdrowiona, Ziemi, co przetrwałaś prześladowania i okrucieństwa wrogów i nie pozwoliłaś zetrzeć piękna polskiej kultury, nie straciłaś ducha, ale wróciłaś do nas. Bądź pozdrowiona!

Bądź pozdrowiona i Ty, skarbnico, ziemi Śląska, usiana lasem czarnych kominów, machin i lochów podziemnych. Ty, co dajesz dowody zrozumienia — przez poświęcenie tyłu swych synów. Tysiące kona w ko-

palniach, przy machinach — lecz trzeba wiedzieć z jaką rezygnacją i zaparciem. Na widok tej cichej rezygnacji najtwardsze kruszą się serca. Bądź pozdrowiona, stara dzielniczo Piastrów — Tyś źródłem niewyczerpanych bogactw i siły — Tyś potęgą!

Wreszcie Ty, ziemio Poznańska i morze bezkresne — bądźcie pozdrowione. Ty, co otwierasz drogę w dalekie kraje i na szmaragdowych swych falach niesiesz w świat ładowne okręty. Ty, co po tylu latach nieobecności wracasz radosne, rozszumiałe swemi falami, rozśpiewane pieśnią żeglarzy, piękne, naszel!

Bądź pozdrowione tą długą tęsknotą naszą, tym bólem rozstania i echem przeszłości. O, morze i Ty, ludzie kaszubski — bądź pozdrowiony. Ty nie pozwoliłeś wydrzeć sobie wiary ni polskości i wróciłeś do nas, bracie Kaszubie, okryty sławą i czcią.

Brzegi teraz rozbrzmiewają życiem, radością, czują opiekę swej matki — Ojczyzny i rozrastają się, potężnieją, stają się chlubą kraju.

Bądźcie pozdrowione, wszystkie dzielnic! To, co zginęło, wróciło i tworzy znów całość, jedność, harmonję.

Radość wypełnia serca i szczęście rozsadza piersi. O, cześć wam, baszty potężne, któreście przetrwały wielkie burze i nawałnice. Pieśń potężna, radosna wyrwa się ze wszystkich serc, bo pieśń wolności.

I płynie poprzez kraj cały, jak długi i szeroki.

Fela V kr.

X Święto narodowe.

Noc... ulice Warszawy puste i głuche, gdzieś tylko przemknie pojedynczy cień ludzki... Ciemno...

Jesteśmy przed jedną z wyniosłych, ponurych kamienic Starego Miasta. Przed wielką, sklepioną bramą stoi jakaś postać, szczelnie owinięta ciemnym płaszczem... Stoi i słucha... Od czasu do czasu można zauważyć wchodzących pojedynczo ludzi, którzy szepcą jakieś jedno słowo — zda się hasło. Udajmy się za jedną z takich postaci, a wejdziemy do obszernej izby, w której okna, szczelnie pozamykane, świadczą o tem, że wszystko to, co się tu dzieje, jest tajemnicą, że nikt inny, prócz tych tajemniczonych, wiedzieć o tem nie może.

Zgromadzenie jest liczne... Wiele męskich postaci siedzi wokoło olbrzymiego stołu, coś kreślą, zapisują, inni stojąc o czemś żywo rozprawiają, o czemś radzą. Wsluchawszy się dobrze, dowiadujemy się, że to komitet obchodu jutrzejszego święta, święta Konstytucji 3-go maja. Nie wolno im głośno myśleć i mówić, wróg zaborca gnębi ducha, zabija w ludziach poczucie polskości, więc trzeba, aby coś przypomniało ludziom, że są Polakami. I oto zebrano się kilkudziesięciu ludzi, którzy z narażeniem własnego życia organizują obchód jutrzejszego święta.

Poranek... Taki sam jak wiele innych napozór, taki sam cudny, majowy, wiosniany. Taki sam jednak tylko napozór, bo oto, przechodząc koło świątyni, zobaczyć można, że tam odprawia się jakieś nabożeństwo. Ludzi moc... Świece na ołtarzach jarzą się i wyglądają tak jakoś ślicznie. Nastrój w świątyniach podniosły. Serce ludu, podobne świecom, jarzą się i posyłają Bogu żarliwą modlitwę: „O, wróć nam Ją, Panie!” Szept cichy płynie... I widać twarze zalane łzami, a jednak z ufnością wznoszące się tam, gdzie na podwyższeniu króluje Chrystus — Bóg. Po nabożeństwie zaś na kazalnicę wchodzi natchniony kapłan i gorącym słowem zachęca i woła, by wytrwać w wierze, bo Polska powstanie! I słuchają kapłana z przejęciem i naraz ze wszystkich płuc wypływa wielka, potężna modlitwa: „Boże coś Polskę.” A później? Później wychodzą z procesją i wielu z nich pada od kul moskiewskich... A ci, niezabici? Ci wiedzą, że spotka ich zato kara, że może Sybir, lub więzienie... ale bez trwogi idą... Idą, by uczcić wielkie święto narodowe, święto Trzeciego maja.

* * *

Dlaczego dzwony tak radośnie biją? Co dziś za święto? Dlaczego liczne związki ze sztandarami defilują przez miasto, co to ma znaczyć? Świątynie wypełnione po brzegi. Z piersi, przepelnionych, wdzięcznością wypływa hymn wielki, hymn chwały i już nie „Wolność racz nam wrócić Panie,” ale „pobłogosław Panie” śpiewają wszyscy.

Nastrój podniosły i wielki... I kaznodzieje nie potrzebują bać się odpowiedzialności, głoszą z ambony słowa wielkie, święte, ogromne. Głoszą, że Ta co z martwych powstała, by teraz jaśnieć potęgą, wymaga od nas poświęcenia się Jej sprawie, czynienia dobrze, prawości.

A później przy dźwiękach orkiestry defilują wszyscy przez miasto w zgodnym pochodzie, z okrzykiem triumfu na ustach...

A dzwony biją, a w takt ich uderzeń biją serca Polaków, co dzień ten dzień święta Niepodległości święcą w wolnej, odrodzonej Polsce.

* * *

Równo, sprężysto, poważnie idą w stronę kościoła smogorzewskiego, zastępy młodych dziewcząt. Na czele pochodu widnieje amarantowy sztandar z Białym naszym Orłem. I serca dziewcząt biją mocno i niejednej wyrwa się okrzyk: „Tyś znowu naszą, znowu wielką i wolną o, Polsko!” Po nabożeństwie w ordynku postępują szeregi seminarzystek w kierunku cmentarza. Pochód jest wielki i taki liczny... Tuż za młodzieżą idą strażacy, a dalej sunie wielka, barwna wstęga okolicznych wieśniaków. Czerwone chustki dziewcząt, barwne welniaki pieszczą oczy. I idą wszyscy... idą... Zatrzymują się przed grobem poległych powstańców, padają na kolana, czcząc tych, co krwią swą kupili wolność Ojczyzny. Następnie przemawia kapłan, zachęcając do poświęceń, do miłości, do zgody. Pod-

niosły i poważny nastrój... Przed tym majestatem śmierci i ofiary uchylają się czoła, a później z piersi, przepelnionych wdzięcznością i miłością, wyrwywają się wielkie potężne słowa: „Ojczyznę, wolność pobłogosław, Panie.”

* * *

Takie to fragmenty przesuwają mi się w pamięci, gdy myślę o Polsce i o Jej świętach. I pod wpływem tych obrazów przeszłości tem lepiej czuję, żem dzieckiem niepodległej i wielkiej Ojczyzny, tem więcej cenię Jej wolność.

Śnieżka.



WIGILJA.

Cisza... grube, miękkie płatki powoli spadają. Zda się, czysta płachta okryła miasto.. Biała, nieprzerwana woalka łączy niebo z ziemią... Czy to Bóg z wyżyn świętości schodzi w przepaści człowieka? Czy świat się ma odrodzić w tej głuszy? Złoci się śnieżysta woalka pod jarzącymi drganiem gwiazd.

Promienność nieskalana wstępuje do mojej duszy i niesie, niesie ją... ku zachodniej stronie. Tam, gdzie polski szumi czarny bór, gdzie tatrzańskie echo się odbija i gdzie bije dzwon Zygmunta. Biję, och, biję, słyszę tę jego przeciąglą, uroczystą, poważną nutę, która uderza o serce, porusza najczulszą strunę... miłości ojczyzny. Matko—Ziemico, jeno myślą z Tobą jestem, Tyś moja, najbliższa. Ale. kiedy Cię ujrzę? Kiedy ucałuję czarną ziemię, krwią i łzami przepojoną?

Dziś goręcej tego pragnę, niż kiedyindziej, bo tak mi tu źle, tak obco, och, jak ciężko! Uciekłabym stąd daleko, nie chcę już dłużej tu być. Prędkiej, prędzej pędź, czasie naprzód?

Wigilja... ale nie w Polsce. Na obczyźnie wśród ciszy wieczoru, który swym spokojem, przejmująco działa na duszę, drażni...

Chrystus się rodzi! W aureoli świętości zstępuje w tę straszną noc. On, Bóg Człowiek, Jedyny, Wszechmocny, nie lęka się brutalnych rąk, które się kryją złowrogo w ciszy nocnej.

„Czorną noc” — okropne słowo. Lecz precz z niem, nie maćmy uroczystej chwili!

— „Może dziś nie urządzimy wigilji? Mają przyjść z rewizją” — słyszę głos stryja. Coś drgnęło mi w głębi. Dotąd siedziałam skulona przy oknie, zapatrzona wdał, niema. Ocknęłam się na te słowa. W pokoju glucho się zrobiło. Obejrzałam się. Tatusz zasepiony siedzi przy piecu. Mamusia smutno się wpatruje w twarzyczkę mego braciszka, który z nienaturalną na swój wiek powagą przerzuca kartki „Wieczorów rodzinnych.” Babcia klęczy przy łóżku.

We mnie wstąpił smutek, coś boleśnie wewnątrz zalkało, zdławilo w gardle. Zerwałam się i na kolana padłam przed Rodzicami: „My Polacy, niechaj przyjdą, niechaj zamordują nas, to dusze nasze pójdą do Polski. Mamusiu, ja chcę wigilji” — i głośnie łkanie wyrwało mi się z piersi. A potem... potem Tatusz pochwycił mnie na kolana... Ja wciąż płakałam... aż poczułam, jak na rozpalone moje policzki spadły duże dwie zimne łzy ze spokojnego oblicza ojcowskiego.

Jak mi dobrze jest! * Mamusia daje mi taki bieluchny opłateczek, a z nim słodki pocałunek i kochane słowa. „Niech cię Dziecię Jezus strzeże i zaprowadzi do Polski.” Dziękuję, dziękuję, więcej nic, nic nie chcę. Siadamy wszyscy uśmiechnięci, w naszych duszach narodził się Jezus, wniósł szczęśliwość nadziemską i niebiańską pogodę. Z miłością tulę się do wszystkich po wieczerzy. Jednak czuję jeszcze jakiś brak. Pragnę modlitwy, ale nie za siebie. Nieśmiało się odzywam: „Teraz pomódlmy się za nieszczęśliwych, którzy konają w czerzyczajkach; za tych, do których w tej chwili wlamują się i aresztowują”. Ukłękliśmy wszyscy... i szła modlitwa zgodna, wielka, przebijała niebiosów. „Boże, daj ujrzeć Polskę.” — na ostatku wyrwało mi się z piersi.

Od kilku lat inaczej spędzam wieczór wigilijny, bo w wolnej niepodległej Polsce. A szczególnie z przyjemnością myślę o wigilii tego roku 1928, gdy Macierz nasza święta obchodzi rocznicę 10-lecia zmartwychwstania. Zasiadę do wieczerzy z radością i spożyję opłatek nie w tęsknocie, ale głębokiej wdzięczności za Polskę niepokalaną. Dzieciatko Jezus się rodzi w polskim kraju, i duszę odradza, prowadzi naród wybrany do Boga.

Przy łamaniu się opłatkiem zbiegają się wszystkie myśli z przeszłości. Tu we wspomnieniach budzi się życie dawnego pokolenia, która ofiarę z siebie składało na ołtarzu ojczyzny. Boże, sprawiłeś, że mamy już upragnioną Matkę. Teraz nie nas od Niej nie oderwie.

Koleżanki, wy, które nie odczuliście, co to znaczy wigilia w obcym kraju, nie wiecie, jaka wtedy dręczy nostalgia. Przy wieczerzy złożcie w myśli hołd Dzieciatku Bożemu za przyniesienie nam daru wielkiego wolnej ojczyzny. Dziś nie potrzebujemy z opłatkiem kryć się przed brutalnością wroga. A jeszcze... Jeszcze gorąco was proszę, westchnijcie za naszych braci, rozproszonych w obcych krajach. Wasza modlitwa z dusz młodocianych ulży biedakom.

O, Chryste Dziecię, błogosław naszej ziemi! Przyjm wraz z hołdem Trzech Króli i pokornym pokłonem pasterzy ofiarę z serc młodzieży polskiej.

M.

Sen żołnierza.

Włodek Brynicz, podporucznik II pułku ułanów, wypoczywał po 2 miesięcznych manewrach w domu rodzicielskim, w Gajówce. Dostał dwutygodniowy urlop... Był rad i szczęśliwy. Przekomarzał się z matką wesoło i czule, utrzymując, że pod jej wpływem zostanie „panną,” a nie porucznikiem Bryniczem...

Było lato. Byszczący gorącem i jasnością świat śmiał się radośnie do błękitu nieba i białych, prawie przezroczystych chmur, nieruchomo, gdzieś grzejących się na horyzoncie, skąpanym w słonecznej topieli. Szczęśliwy był świat... Szczęśliwe życie...

Włodek Brynicz, z książką w rękę, rozłożony pod krzakiem leszczyny — czytał. Podnosił co chwila bystre ciemne oczy w górę, to znów zatapiał je w książce. Od dwóch godzin leżał tu w cieniu tej przytulnej leszczyny, czekając na przyjaciela, Stacha Rochmickiego, lotnika, który razem z nim odbywał urlop. Mieli się udać do kąpieli, jak codzień. Dziś Włodek zapomniał o przyjacielu. Zajmowała go jakaś znaleziona w starych zbiorach książka... Nie czytywał książek, a jeśli czytał kiedyś, — to rzadko, w wojsku nie było na to czasu. Dziś znalazł coś, co go zajęło... Zresztą było mu tak dobrze w cieniu rozłożystej leszczyny, na chłodnej murawie... Więc czytał. Książka była ciekawa, nawskroś żołnierska. Coś o powstańcach, Traugucie... Wchłonał się cały, zapomniał. Mijały godziny. Słońce zalewało ziemię światłem, — był upał. Nareszcie Włodek odłożył książkę, — skończył...

Przymknął oczy i myślał.

„Czy ja tak mógłbym? Przecież też żołnierz.

— Och, poszedłbym z pewnością!” W duszy zagrało mu cicho, coś jakby żal...

„Dlaczego teraz nie stało się to? Dlaczego?”

Nagle w ten żal uderzył ostry głos: „Bo wolność masz!”

— Marzył znowu... „Gdyby być tam... Cierpieć, jak tamci za kraj, — czy to rozkosz byłaby, czy ból? Nie mógł wiedzieć, co by to było. Czuł, że był to ogrom czegoś, co zmuszało do skurczenia się w sobie i pochylenia czoła w uznaniu...

Tamci byli wielcy — miłością!

Myśli spletały mu się w jeden pogmatwany łańcuch...

Zasnął.

*

*

*

„Na Marszałkowskiej są. Dogonicie,” — mówi szeptem, jakiś wysoki student o jasnych dziewczęcych oczach... „Mówię Wam, tysiące... Niosą pięciu... Muszę załatwić z towarzyszami. Broń macie?” — Nie dostałem, odpowiada twardo Włodek, — swojej nie mam. — Był rozdrażniony i zdenerwowany wszystkim, co się działo wokół. Bał się o „tamtych.” Student zniknął... Włodek naciągnął na głowę mocno wyszarżaną, aksamitną „studentkę” i ruszył ku Marszałkowskiej, objając się wśród ciżby. Nareszcie. Gdzieś zdala płynęła jakaś olbrzymia pieśń znana i swoja, — a dlaczego zarazem taka inna... taka inna... Jak oknem sięgnąć, nie widać nic, tylko mrowie głów ludzkich, a nad nimi 5 ciemnych, długich pudeł — trumny... Pięciu ich było, — tak. Przecisnął się wśród ciał ludzkiej masy. Zdawało mu się, że w tej ciszy słyszy bicie jednego wielkiego serca, któremu wtórował śpiew hymnu, — i te słowa samem błaganiem nabrzmiałe.

„Ojczyznę naszą racz nam wrócić, Paniel!”

Szedł tuż obok trumny, między kolegami, czekając na swą kolej. Śpiewać nie mógł, dławilo go coś w gardle.

Dochodzili do Powązek. Nagle, gdzieś z boku podniósł się krzyk. Tłum zakolysał się, pochylił falą, załkała pieśń nieskończonem słowem.

Wśród wrzawy ostry zimny huk kilka razy!

Tuż nad uchem cichy głos: Kozacy! Można było przewidzieć. Biercie trumnę i suniemy, — aby tylko za mur, — trzymajcie rewolwer! Schwycił za bok trumny. Pchali ją przed sobą w tłum. Nareszcie. —

Postawili ostrożnie na okwieconej murawie cmentarza. Teraz biegł zpowrotem, ściskając w dłoni mały rewolwer.

„Och, gdyby prędzej”... Wmieształ się w tłum szlochający, rozpaczny, wylękły, ale zacięty w swoim. Gdzieś zdala wyl głoś bitego człowieka. Dopadł z innymi. Oczami, jak płomień ogarnął sytuację... — Jakiś wielki kozak ciął przez plecy młodą, o wylękłych oczach kobietę. —

Włodek aż się zachłysnął grozą i oburzeniem. — „Ty! Polkę! — śmiałeś”... Jednym tchem, jednym rzutem ciała znalazł się przed kozakiem. — „Ty psie moskiewskil Łotrzel!” wyciągnął rękę z rewolwerem, — cyngiel spadł — bez strzału.

Ujrzał tylko nad sobą wielkie żółte zęby kozaka pod rudemi wąsikami i tuż przy piersi swej błyszczący bagniet... Zamarł w sobie, onie-miał.

* * *

„Włodek! Bój się Boga! Dobra nasza kąpiel, ale już za chłodno; — a szkoda.” Włodek otworzył oczy, rozejrzał się. Przed nim stał młody chłopak w mundurze lotnika, uśmiechnięty, śnać rad z miny przyjaciela. „A co? zląkłeś się... Pewno śniłeś o królownie, bujając z nią po obłokach. Szkoda, że cię zbudził.” Włodek oprzytomniał. Wstał, poprawił mundur, podniósł książkę, porzuconą na trawie. Poszli. Zbliżał się wieczór letni, ten wieczór wiejski, pełen woni i głosów przeróżnych, dalekich, a tak swoich i drogich. „Miałem po raz pierwszy w życiu sen, który mógłbym opowiedzieć, jak świeżo przeczytaną książkę,” — odezwał się Włodek — zapatrzony gdzieś w gasnący zachód.

Opowiedz! Może i mnie zaciekawi, — rzekł poważnie Stach, zainteresowany zachowaniem się przyjaciela.

Może przejdziemy przez mostek. Niedaleko za nim jest mogiła 12-stu poległych, — wiesz w 63-cim... *

Stali obaj nad zgarbionym, zmurszałym krzyżem, oplecionym zeschłymi blawatami i macierzanką. Włodek mówił: „Dziś jesteśmy wolni! Wolni duchem! W wolnym kraju żyjemy, na ojczystej ziemi... Szkoły na-

sze są polskie. Nikt nas nie zmusza, byśmy obcym językiem mówili, byśmy się wyparli modlitwy, którą ojcowie nasi przed tron Najwyższego posyłali... Wolność mamy!

— A za tę cichą walkę Tamtym, co polegli za kraj, za wolność — cześć!

Oby im ta ziemia nasza w cichy letni wieczór tajemnicę wyznała, że Polska żyje i synów wiernych ma, którzy gotowi do ostatniej kropli krwi bronić jej wolności. Tak nam dopomóż Bóg!

Nad zmurszałym krzyżem dwie żołnierskie sylwetki z ręką u skroni. Oddawali cześć Tamtym — z za świata. Jedni byli duchem i pragnieniami, jedni sercem, bo jedno umiłowali. —

— A na ziemię mrok schodził wieczorny, rosą, jak łzami szczęścia przesiąknięty, szczęśliwy wieczór w wolnej polskiej wiosce.

Z. W. kurs III.



Na ementarzu.

Cicho... tylko ementarne krzyże czernią się samotne, tylko mogiły garbią się szarżale, — czasem szmer zapomnianego liścia, oddech wiatru i cicho... czasem się przemknie myśl wieczornego zmroku i znów cisza... święta cisza.

Cześć umarłych dla rocznicy dziesięciolecia niepodległości Polski!

Naraz... odzywa się głos z serca kościelnego dzwonu! W rozelkanym dźwięku bije modlitewna radość i chwała dla Królowej, że u Boga wolność swego narodu uprosiła. Pieśń dziękczynna, że już dziesięć lat wolnem powietrzem żyć pozwoliła...

Dzwon śpiewa cudnie a cudnie...

Patrz! — Czy widzisz te trzy mogiły? — Rosną w oczach, potężnieją. Boże! rozpękła się ziemia, trzy duchy powstają!...

Jeden starzec... krew mu z ramienia broczy, a na ustach uśmiech, drugi z odłamek miecza w szerokiej piersi, a na czole z zapalem, trzeci pacholę jeszcze z raną na skroni, a w oczach z bezmiarem miłości.

Skrzyżowała się ich broń, wzniosły ręce, przysięgają wymodlić dla Polski błogosławieństwo Boże.

A potem... pogodny głos starca: — Ojczyzna wolna, dzieci nasze wolne. Silny głos młodzieńca: — Wiara wolna, ziemia najdroższa z wrogich rąk wydarta! O, jakże mi słodko umierać było, bom wtedy, gdy mi

Moskal pchał w pierś żelazisko podle, ujrzał obraz Polski wolnej i z nim poległem. —

A wreszcie najmłodszy: — Polsko, Tyś wolną być musiała, bośmy miłość w Twej obronie złożyli. Boś była nam pierwszą po Bogu, Tyś jedynem szczęściem i myślą naszą! Ukochana.

Prześliczne głębokie oczy objęły ziemię, tulącą się w mroku, spojrzeniem serdecznej pieśczoły, a usta cicho mówiły:

— Słyszycie, bracia, jak dzwony dziś inaczej biją? — Czujecie, jak wiatr wolnością wonie? Jak ziemia drży miłością?

Jaki Bóg nieskończenie dobry, że dziś właśnie pozwolił naszym душom do Polski powrócić, oczy kochaniem nasycić. Jaki dobry, że nam naszą Matkę oddał. O, gdybym dzisiaj żył tu na świecie pomiędzy swoimi, oddałbym siebie, prowadząc ku wyżynom Ojczyznę umiłowaną. — Jasną głowę oparł o krzyż zimny, a wzrok pobiegł na pola szerokie, na ciemne lasy, na chatki niskie. Starzec mu dłoń na ramieniu złożył.

— Dziecko, dzwony inaczej biją, wiatr pachnie inaczej, to prawda szczerą, ale czy więcej nie słyszysz, nie czujesz? A tam, ten zgrzyt?... I ja kocham tę krainę i tem więcej mi żal, że kłócą się jej synowie już teraz, ledwie swobodę zyskali. To boli stare serca, co tyle niedoli przeżyły, boli niezgoda... Dziś, gdym po latach dziesięciu na ziemię popatrzył, nie słyszałem nic prócz własnej radości, lecz teraz słyszę, synu, słyszę.

Biagalny protest. — Nie, ojczcie, oni się opamiętają, zrozumieją, oczyszczą z chwilowych win i do chwały doprowadzą swą piękną ojczyznę — Drugi dźwięczący mocą protest: W Polsce dobrze być musi, bo wiara jeszcze nie zginęła, bo żyją młodzi, co zapal w sercach noszą czyn rodzący. —

Delikatny, ciepły powiew u stóp ich zaszeleścił, cichuteńką podzięką szaty całował. Starzec łzę srebrną otarł, przytulił miękko do siebie młodzieńców, a potem rzekł:

— Miłość, wiara i czyn to potęga naszej Polski, wybaczcie, dzieci, starcowi chwilę słabości. —

Podniosła się z ziemi radosna melodja, Duch wolnej Polski przysiadł u kolan duchów swych synów. — Roziegły się głosy:

— Bóg mię w życiu obdarzył mądrością, dziś ją w ofierze narodowi polskiemu składam.

— Mnie zaś dał siłę zapалу, wiary i czynu — dla czci Polski jej oddaję.

— A mnie ukochanie wielkie wszystkiego, co polskie, i to młodzieży przekazuję. —

I nastąpiła chwila przeogromnej ciszy. Jasne wizje rozwiewały się, mogiły malowały, pozostał cmentarz jak przedtem cichy, lecz choć szary, jaśniejący jakiś, bardziej święty. —

A dzwony biły. ... teraz za poległych- Tony ich wdzięczne a rzewne
kładły się na mogiłach długo, długo, aż powstał z nich głos:

Cześć poleg'ym!

O.

CZEŚĆ BOHATEROM.

*Ty, co w Sybiru tajgi hen, zagnany,
Za wolność Polski dałeś wrogom krew,
Ty, coś w marzeniach kruszył Jej kajdany,
I szedł dać życie, gdy zagrzniał Jej zew.
Bądź dziś uczczony, boś wielki, boś prawy,
Boś się poświęcił dla świętej Jej sprawy!*

*I ty, coś w kraju za wolność dał życie,
By Ona mogła nam jaśnieć i żyć,
By Orzeł Biały znów szumiał na szczycie,
By w Polsce polska mowa mogła być.
Bądź dziś uczczony, gdy wolność nam świeci,
Gdyśmy już Polski niepodległej dzieci.*

*Bądźcie uczczeni wy biedni i mali
Uczniowie polscy z rosyjskich tych szkół,
Którzyście jednak przy wierze swej stali,
Choć wróg nas w kleszcze swej przemocy skuł.
Wyście przykładem dla synów tej ziemi,
Bądźcie za wolność tę błogosławieni!*

*Cześć wam, powstańcy, co swoim zapałem,
Chcieliście skruszyć wrogą sobie moc.
Pamiętać będziem w życiu swoim całem
Historję powstań, listopada noc.
I czcić was będziem za poświęceń siłę,
Którąście nieśli w życiu — po mogiłę!*

Śnieżka.



Ostatni rok na szkolnej ławie.

Płynęły dni... żmudnej pracy, znojących wysiłków, płynęły dni... pełne
marzeń i myśli, płynęły dni, przeplatane łzami i smutkiem.

Pięć lat minęło od chwili, gdy — jako czternastolenna wąła, biała
dziewczynka usiadła raz pierwszy na ławie w tutejszej szkole. Jakież zmia-
ny od tego czasu! Młode serce, przechodząc przez różne fazy uczuć i myśli,
poznawać zaczęło, co przyjaźń, co słowo przychylne, co uśmiech serdeczny.

Oddalona od rodziny, pozbawiona ciepła i opieki matki, chętnie garnęłam się tam, gdzie spodziewałam się znaleźć choćby jeden przychylny i ciepły promyczek. Różnie bywało... nie brakło przy tem zawodów serdecznych i rozgoryczeń. Wszystko minęło... Ostatni rok... jeszcze kilka miesięcy i przyjdzie dzień, kiedy będę musiała pożegnać wszystko, co stało się drogą. Te mury, co z początku były mi obce, zimne i takie jakieś sztywne, teraz są tak bliskie sercu. Te mury widziały przecież serdeczne łzy tęsknoty, widziały mój smutek, widziały me radości, słyszały mój śmiech i wesołość. Czyż mogą być teraz obojętne? nie. Dlatego smutno pomyśleć, że pożegnać je trzeba. A czy mury tylko? Trzeba pożegnać wszystkie drogie osoby, tak trudno o tem pomyśleć. Pożegnać, pożegnać, wszystko pożegnać, a trzeba iść samej w nieznaną przyszłość. Co nas tam czeka — nikt nie wie. Przed nami życie ze swemi trudami, ze swoją radością, ze swoim pięknem.

Myśl i wyobrażenia na ciemnej, bo nieznanej karcie życiowej rzucają często cudne obrazy. Praca dla idei, poświęcenie, chęć niesienia tego „kagańca oświaty” pod strzechy, oto pierwsze litery, pierwsze obrazy, na owej karcie. Serce drży trochę na wspomnienie trudów, lecz wiara we własne siły i pomoc Boga zajmują miejsce obawy. Kiedy to będzie, czy to naprawdę już ostatni rok w szkole? szepce jakiś trwożliwy głos w duszy, a może nie... Ta matura i jej wspomnienie zamąca chyży bieg mej myśli, lecz co tam, Bóg dopomoże i biały arkusz papieru spocznie w mej ręce — to matura. Potem nastąpi chwila pożegnania z koleżankami, to smutne, ale ta nić, wiążąca nas dotąd, nie zerwie się przecież. To jest niemożliwe, aby te wszystkie godziny, wspólnie spędzone nad książką, te wszystkie smutki uczniowskie, te nieudatne klasówki, serdeczne słowa i przyjazne uśmiechy, nie zostawiły żadnego echa. Nam nie wystarczy to „Dowidzenia”. Za przyjaźń i serca oddane musimy dać miłość i serca nasze. Za pracę, podjętą dla nas, damy również pracę dla innych. Pójdziemy w życie z hasłem:

Nam trzeba zawsze w górę iść

Choć męczy życie,

A jeśli przyjdzie w boju paść,

To paść na szczycie.

Pójdę w życie z sercem, w którym zamknę cały skarb zdobytych tych chwil jasnych i podniosłych. Jeśli mnie jakiś smutek ogarnie, a pomocy u ludzi nie znajdę, będę ją czerpać z owej skarbnicy. Radość dni przeżytych, wspomnienie domu, lat dziecinnych i szkoły będzie mi dźwignią i podporą. Chwile mijają prędko i życie ucieka, chcę więc pracować, „by potem nie szpecił dni starych żalobą, żem młodość bezmyślnie straciła”.

„Biały płatek” (V k.).

Pierwsze zetknięcie się z dziećmi w szkole powszechnej.

Z niewypowiedzianą radością, z ciekawością, a nawet z lekkim drżeniem wyczekiwałam pierwszej hospitacji. Czekałam z upragnieniem chwili, kiedy nareszcie zobaczę razem zebrane, te białe, lniane, konopiaste główki, a co ważniejsza, chciałam wiedzieć, jakie one na mnie zrobią wrażenie.

Doczekałam nareszcie dnia tego, kiedy wszystkie ochoczo pobiegłyśmy do pobliskiej ćwiczeniówki. Zdaleka już słyhać było głosy, dobywające się z kilkudziesięciu młodych piersi, słyhać było śmiechy, krzyki, a nawet ze zbliżeniem się do budynku szkolnego można było zauważyć, jak malcy z pierwszego stopnia obdarzali się wzajemnie kulakami. Ruchy tych malców były ciężkie, niezgrabne, a nawet niepewne. Niektóre dzieci z wytrzeszczonymi oczkami zaczęły nam się przyglądać badawczo. Na zadawane przez nas pytania jedne odpowiadały śmiało, inne uciekając nic nie chciały mówić, jeszcze inne spuszczały główkę i mówiły tak cichutko, że niewiele z takiej odpowiedzi można się było dowiedzieć. Zaraz powstała mi w głowie myśl jedna: że oddając się pracy nauczycielskiej, trzeba mieć naprawdę zamiłowanie, trzeba umieć znieść prawie wszystkie kaprysy, wszystkie upory i wszystkie niegrzeczne zachowania się dzieci. Zrobiłam sobie w myśli jakby rachunek sumienia, czy ja kocham dzieci, bo w przeciwnym razie, czy dobrą będę nauczycielką? Przecież to element niezbędny dla nauczycielki w pracy nad temi nieoświeconymi jeszcze niczem dziecięcymi główkami. Prędko jednak odpowiedziałam sobie na powstające w myśli pytanie. Pierwsze zetknięcie się z dziećmi zrobiło na mnie wrażenie, mało powiedzieć, miłe, ale nauczyło mnie bardziej jeszcze kochać tę biedną diatwę wiejską. Trudno jest nie odnieść się z miłością, ciepłym słowem i uśmiechem na ustach do dzieci, a zwłaszcza do tych, które dopiero raz pierwszy weszły w mury szkolnego budynku. Trudno jest oprzeć się wzruszeniu, kiedy maleństwa, nieumiejące jeszcze ani czytać ani pisać, ani żadnego wiersza, swymi niewinnymi dziecięcymi usteczkami wymawiają: „Zdrowaś Marjo”. Zdawało mi się w owej chwili, że tylko modlitwa takich niewinnych duszyczek może być wysłuchana przez Stwórcę i miłą Mu będzie. Uczułam od dnia pierwszej hospitacji niewypowiedziany pociąg do tych płowych główek i chabrowych ocząt, które tak ciekawie umieją patrzeć, kiedy nauczycielka ma uśmiech na ustach, lub kiedy pokazuje im coś ciekawego. Najwięcej jednak pracują ich dziecięce rozумы, kiedy nauczycielka rzuci ogólne pytanie, chcąc, aby któreś z dzieci na nie odpowiedziało. Wówczas jedno przez drugie chce być tym szczęśliwcem, jedne odpowiadają logicznie, inne mniej, a jeszcze z innych można się uśmieć serdecznie, bo odpowiadają takim zdaniem, które nie ma żadnego związku z lekcją. Czy można ich za to nie lubić? Czy można nie zbliżyć się do nich dlatego, że są bose, czasem obdarte, a co gorsza najczęściej niemi-

łosiernie brudne? Właśnie trzeba im pokazać drogę do czystości ciała, a o ile możliwości pomóc im w warunkach materialnych, które nieraz zanadto dają się odczuwać naszym biednym dzieciakom, ale one jeszcze tego nie rozumieją. Pierwsze moje zbliżenie się do dzieci w szkole powszechnej dało bardzo dużo: nauczyło mnie kochać je, dało jakby pierwsze kamienie do mającego powstać fundamentu, a również za pośrednictwem dzieci wiejskich poczułam, że kocham i kochać powinnam bardziej niż dotąd nasz lud wiejski. Przy pomocy Bożej będę wlewać światło w te ciemne główki dziecięce, będę się starała odnosić się do nich z miłością łacie macierzyńską, mając na myśli słowa:

Naszym celem lud i praca
Pośród drogich sercu chat,
Że nas czeka trud i praca,
Nie marnujemy teraz lat.....

Wiśka.



Andrzejki.

Dziewczynki! wiecie co, jutro Andrzejki! W sypialni powstaje wielki krzyk i hałas.

Wspaniale! Doskonale!

Jutro dowiemy się, czy która z nas wyjdzie zamąż, zostanie starą panną, albo zakonnicą.

— Oj! dobrze, dobrze! dowiemy się.

Z tą myślą zasnęłyśmy...

Nazajutrz wieczorem, przez uchylone drzwi sali fizycznej, w której zebrała się grupa towarzyska, ujrzałam zielone światelko. Weszłam... patrzę... a tam są już panie Nauczycielki i ks. Kanonik. Na środku sali stoi stół, na nim miednica z wodą. Przyglądam się z wielkim zaciekawieniem i... widzę staruszkę wróżbitę, który leje wosk przez różgę. Obok niego stoi ks. Kanonik i pyta: „no, jest tam co?” Jest! jest! odzywają się głosy. Zaraz staruszek przysuwa wylany przedmiot do ściany, widzi coś bardzo dziwnego i woła:

Koń! rycerz! nie, co innego!

— Co to może być? — wołają dziewczynki.

— Aha! już wiem, co to jest — woła piszczący głosik. — To jest kosa! nie, osioł!

A! rzeczywiście osioł, osioł! — i wszyscy zaczynają się śmiać.

Po chwili jedna z dowcipnych koleżanek rzecze: — Żeby czasami niewyróżniło się naprawdę, bo osłem być, to nic przyjemnego. Z wosku dziewczynki wylewały różne rzeczy komiczne i bardzo śmieszne: osły, ko-

nie, kozy, zaklętych królewiczów, śpiących rycerzy, jakieś ruiny zamków i pałaców.

Przy drugim stoliku siedziała cyganka, wróżąc jednej koleżance.

„Będiesz miała męża bruneta, małego grubego, lecz kłótniowego” mówiła cyganka bardzo poważnie.

— Co? Ja? męża? — pyta zdziwiona.

— Tak, tak, ty, bruneta! —

I znów śmiech rozległ się w sali.

Idą dalej... a tu coś nowego. Trzy talerze, pod niemi leży czepek, który jest godłem starej panny, różaniec symbolem zakonnicy, a pierścień (w braku obrączki) symbolem małżeństwa.

— Wyciągnę chyba obrączkę, bo nie mam zamiaru być starą panną, lub zakonnica — mówi pewny siebie głosik. Idzie... o, i masz! jak na złość czepek.

— Niel to niemożliwe. Ja mam być starą panną! nigdy! nigdy! wolę wstąpić do klasztoru! służyć Bogu! a nie być pogardzaną przez wszystkich.

Żle mi się wróży! idę od was! —

Z miną bardzo kwaśną idzie na kurs i pogrąża się w marzeniach. Tymczasem w sali dziewczynki postanowiły powróżyć jeszcze w inny sposób.

Przed drzwiami ustawiły szereg pantofli i z wielkim skupieniem czekały, czyj pierwszy wyleci za drzwi. Po chwili wybucha śmiech i krzyk.

— Mój, pierwszy! krzyczy jedna. Mój drugi! piszczy inna.

— Wyjde! wyjde! zamaż niedługo — woła bardzo zadowolona dziewczynka, której pantofel najpierw wyleciał za drzwi. Śmiałyśmy się długo... Po tak miłym wieczorze udałyśmy się do sypialni.

Jesteśmy w sypialni... Każda na swoim łóżeczku odczytuje karteczki od dziewczynek.

Cicho, koleżanki, coś wam odczytam.

„Wyteżaj umysł do historii!”

Czekajcie, a ja mam coś ładniejszego:

„Spodziewaj się jedności z geometrii.” Mądre zdania, prawda? Śmiałyśmy się długo... długo... aż wkońcu zasnęłyśmy...

Amo II kurs.

Pierwsza noc na posadzie.

„Wyfrunął ptak z gniazda. Już teraz o własnych siłach w świat.” Smutno jakoś myślałam, wyjeżdżając z domu na pierwszą posadę. A tak się jeszcze wczoraj cieszyłam, tak mnie bawiło pakowanie i inne przygotowania. Coprawda przy wieczornym pacierzu przykro mi się zrobiło na myśl rozstania z najbliższymi, ale nie chcąc się rozczulać, dokończyłam

czem prędzej modlitwy. A teraz lęk jakiś nieokreślony ściska duszę, lęk przed tem nieznanem jutrem...

„A w życie iść trzeba i borykać się ze swą dolą i niedolą. Z przekleństwem na ustach, czy śpiewem... jednak trzeba”... tak ktoś napisał.

Wiem, że trzeba iść, czy jechać, ale z przekleństwem... eee... to nie, ze śpiewem... również nie. Ja przedewszystkiem jadę na posadę z dużym zapalem, radością, z chęcią czynienia dobrze i... z ciekawością.

Jak też to tam będzie?...

Zawsze lepiej jak w Marjówce, bo już nie będę potrzebowała uczyć się francuskiego, matematyki i wreszcie tych wszystkich „Kotów”... ale z drugiej strony... Nie, już nic nie będę myślała. Zaraz oczy wilgotnieją i trzeba tak prędko... prędko mrugać... a tyle ludzi w wagonie.

No, jeśli bez wywalenia dojadę na miejsce, to wiwat! — myślę dalej, jadąc od kolei po okropnej, błotnistej drodze. Ładniebym wyglądała po takim uwieńczeniu podróży. Ale na szczęście już niedaleko.

Serce znowu bije, jak przed klasówką i odczuwam taką gwałtowną ochotę „zwiania,” jak się to mówi w uczniowskim języku. Ale po chwili już jestem w pokoiku, który ma być moim. Ciepło, miłuchno, okno z widokiem na piękny, stary park. Wielkie lipy i klony, przystrojone w barwne szaty jesieni dziwnie odbijają na tle ciemnych, poważnych świerków. Wszędzie barwy w przebogatych odcieniach, wszędzie złoto liści...

Stałam przy ogrzanym piecu i zamyśliłam się na chwilę. Co teraz robić: płakać, czy rozpakowywać się? Ostatecznie musiałam wybrać i jedno i drugie. Przeciagle echo jakiejś pieśni przerwało zajęcie. Otworzyłam okno i słuchałam. W ciszy i zamgleniu jesiennego wieczoru zgodne, rozwlekłe tony ruskiej melodji płynęły z podmuchem wiatru i drżące opadały na szczyty drzew i szelestem lecących liści spływały znowu na ziemię. Ładnie — szepnęłam.

Godzina późna, chyba już czas iść spać. Ciekawam, co mi się też będzie śniło na nowem miejscu. Oj, żeby chociaż zapamiętała, jeśli będzie co miłego, bo napewno się sprawdzi.

Jakaś burza. Widzę jaskrawe, oślepiające błyskawice, widzę łamiące się drzewa. Nagle w tumanie żółtego pyłu zakreśliło się coś gwałtownie. Przeraźliwy krzyk przebił powietrze: djabeł, djabeł! Porwałam się przerażona, chcę uciekać, lecz nie zdążyłam. Coś czerwonego wpada szybko do pokoju. Odskokczyłam i najniespodzianie zawisłam u sufitu na lepku od much. Chcę skoczyć — nie mogę. Lep trzyma mocno. Zaczynam się szamotać, a djabeł tuż. Zebrałam wszystkie siły i krzyknęłam jak mogłam najgłośniejsz,

Dzwoniłam zębami, siedząc na łóżku jeszcze pod wrażeniem snu. Wtem, słyszę jakieś dobijanie do okna. Może to nie sen, może naprawdę jest tu. . . nie śmiałam dokończyć, bo nagle głośniejsze uderzenie w szybę i jakieś sapanie. Zarzuciłam czem prędzej kołdrę na głowę. Najstraszliwsze obrazy stanęły w przerażonym umyśle, serce wali tak mocno, że uczuwałam fizyczny ból. Znowu szmer i jakieś mruczenie. Każdy nerw dygocze we mnie. Boję się poruszyć. Wreszcie wybucham płaczem. Święta Tereniu, święta Tereniu — szeptałam bezustanku. Musiało już być nad ranem, bo wkrótce zaczęło świtać. Stopniowo się uspokoiłam i ostrożnie wyjrzałam z pod kołdry. Zaczęłam się zastanawiać.

Przecież pacierz wczoraj zmówiłam. . . eee... takie głupie sny. Miałoby się też co sprawdzać. Tylko co to było za oknem?...

— Jakżeż ten djabeł wyglądał? myślę dalej.

— Aha! — roześmiałam się serdecznie na samo wspomnienie. Zupełnie był podobny do mojego czerwonego kostjumu kąpielowego. Też się miałam czego bać.

Przy świetle dziennem zupełnie to jakoś inaczej wygląda.

Przynoszącego śniadanie chłopca pytam o strachy z za okna. — Te psy, które przychodziły do tamtej pani — mówi mi. Czulałam, że się zaczerwieniłam.

Niema co, mogę się pochwalić. Ja, co kiedyś imponowałam młodszemu rodzeństwu swą odwagą, teraz umierałam ze strachu, że tam sobie jakieś psy spacerowały po parku. O, wcale niemiłe uczucie.

— Jak się pani spało? pytano mnie.

— Bardzo dobrze, — odpowiadam krótko, oczywiście nic nie wspominając o śnie, który tak mi się miał sprawdzić i który tak chciałam zapamiętać, jako wróżbę na nowym miejscu pobytu.

L. M.

Nad granicą polsko-niemiecką.

(Wspomnienie z wycieczki).

— Słuchajcie, panienki, czy bardzo jesteście zmęczone? — zapytuje gromadki wycieczkowiczek panna Ziuta G.

— Oj, ledwie żyję. Bardzo, bardzo... — dają się słyszeć tu i owdzie cienkie głosiki. Przed chwilą bowiem zwiedzałyśmy cynkownię w Lipinach.

— Ja jednak, jeszcze nie bardzo jestem zmęczona — mówi któraś z silniejszych. I ja. I ja... — dodają inne.

— A więc te, które czują, że jeszcze żyją, niechaj staną po prawej stronie, reszta po lewej. — Kilkanaście dziewcząt odsunęło się na prawo.

— No, moje zuchy, o cztery kilometry stąd jest granica polsko-niemiecka i możebyś tam poszły. Jak myślicie?

— Doskonale, idziemy, idziemy — krzyknęła prawica, a kilka zmęczonych cicho przyłączyło się do nich.

— I my chcemy zobaczyć granicę Polski. —

— Czy ty, Władko, zajdziesz?... Zastanów się tylko — przemawia do rozumu koleżanki troskliwa Marylka.

— Moja droga, już ty na pewno nie będziesz mię niosła. Zresztą, przecież nie mogę opuścić tej okazji zobaczenia granicy Polski.

W tej chwili w wyobraźni Marylki słowo „granica Polski” zaczęło rosnąć, złościć się i wyolbrzymiać. I stało wielkie i piękne tak, że Marylka już nie sprzeciwia się zamiarom Władzi.

Tymczasem nasze gronko ustawiło się w kolumnę i rusza naprzód, żegnane przez „śmiertelnie zmęczone.”

Idziemy równo, dziwnie podniecone tą myślą, że za chwilę będziemy już widziały granicę naszej kochanej Ojczyzny.

— Już ja muszę pójść za granicę — robi postanowienie Laurka.

— No i ja także — dorzuca Jaśka. — Widzieć, to już widziałam ją koło Żarnowca.

— O, o, jakaś ty dumna. Ale jak sobie wyobrażacie tę granicę?

— Ja, to... i pełna wyobraźni Łódzia snuje przed oczyma słuchaczek wizję granicy Polski.

... Płynie rzeczka i... ona jest granicą Polski... Wierzba rośnie... (koniecznie wierzba i to płacząca). Wdali żołnierz polski... dalej niemiecki... sąsiad, bliźni i wróg...

— Patrz, patrz ten budynek drewniany to komora celna.

— Co, już? Gdzie? to niemożliwe.

— Ależ tak, — panna Ziuta mi powiedziała.

— Jak ty, Łodziu, zgadłaś, rzeczywiście płynie rzeczka. Ale gdzie granica?

— Granicę wyznaczają takie niewielkie słupki jak ten, który widzicie koło mostu. — objaśnia pani G.

— Te małe i tak rzadko ustawione, a ja myślałam, że one są większe i jeden obok drugiego.

Już dochodzimy. To miejsce wydaje nam się świętem. Idziemy prawie na palcach, dziwiąc się jak ci ludzie którzy tu przechodzą, tak głośno mogą rozmawiać... Przecież to granica Polski...

Wdali widać Bytom... To już Niemcy... Tak.

Jakieś dziewczę idzie do szkoły w Bytomiu... do Niemiec. Z miną królowny podaje przepustkę straży... Tak nam jej dziwnie żal. Nasza gwarliwa gromadka umilkła. —

Cisza... tylko gdzieś zdali słyhać stuk. — To Niemiec.

Trawy i sioła, rosnące na granicy, szepcą słowa zaklęcia i prośby: pamiętajcie o nas...

Szereg słupków — granica Polski, zrealizowanie marzeń tylu, tylu pokoleń. Senne widziadło ojców naszych... Tak niedawno, zaledwie kilka lat... świeża granica wolnej naszej Ojczyzny.

Tu w tym tak drogiem miejscu budzi się myśl w strudzonej głowie, że jednak byli ludzie kochani, bardzo kochani, którzy krew swą i życie ofiarowali dla lepszej przyszłości. Cześć im i chwała!



= KRONIKA. =

28 października. „Kolo Przyrodnicze” obchodziło 5-lecie założenia swej organizacji. Program był następujący:

Referat „Historja Koła” — kol. M. Rokwiszówny.

„Flora i fauna naszych okolic” — kol. L. Kawińskiej.

Nasze okolice pod względem histor. i geogr. — kol. M. Chmielewskiej.

„Oczepiny” obrazek sceniczny, ułożony na podstawie obserwacji, prowadzonych w naszych okolicach.

31 października. Większa część dziewczynek wyjeżdża na kilkudniowe ferje. „Wszystkich Świętych”. Panuje więc ruch i gwar... gorączkowe oczekiwania samochodów...

4 listopada. „O, jakże prędko czas minął!”... — słyszy się westchnienia — nie zdaje mi się wcale, że to już jutro lekcje... Ale niestety... trzeba lekcje powtarzać, osładzając czas wydobytą z kosza czekoladką...

10 listopada. Dzień ten rozpoczęliśmy uroczystie odśpiewaniem po pacierzu „Jeszcze Polska nie zginęła.”

Po Mszy św. odbyła się akademja, rozpoczęta ślicznym przemówieniem p. Siemińskiej.

Następnie była deklamacja: „Żołnierz Murmański” — wygl. kol. J. Dworecka.

Referat — odczytała kol. F. Stulikówna.

Dekl. „Na zmartwychwstanie biją dzwony” — M. Chmielewska.

Referat — kol. M. Ulanowskiej.

Dekl. „Na szczyty” — wygl. kol. K. Raczkowska.

Dekl. „Hasto” — wygłosiła — kol. L. Ignerowiczówna.

Odśpiewanie Hymnu Narodowego.

Wieczorem odegraną została sztuka J. Słowackiego „Złota Czaszka” i obrazek sceniczny „Ślubujemy.”

11 listopada. Szkoła nasza udała się ze sztandarem do kościoła, a poczem pochód wrócił do gmachu seminarjum.

Po południu udaliśmy się na cmentarz, na grób powstańców 63 roku, by złożyć wieńce. Na wiosnę ma tu stanąć kosztem seminarzystek i personelu nauczyc. oraz szkoły gospodarczej pomnik.

Ksiądz proboszcz wygłosił ładne okolicznościowe kazanie.

Wieczorem odbyła się dla gości okolicznych i ludu akademja, składająca się z deklamacji, referatu i śpiewu. Poczem ponowiono przedstawienie, grane dnia poprzedniego.

14 listopada. Po kolacji udaliśmy się do kaplicy na rozpoczęcie rekolekcji. Przez kilka dni będzie panowała uroczysta, niczem niezmacona cisza.

17 listopada. Rekolekcje dobiegają do końca... Pojaśniały twarze, rozradowały serca, do dusz wstąpiło błogie uczucie... Wszystkie przystąpiły do spowiedzi i zadowolone z odzyskania równowagi duchowej czekają na przystąpienie do Sakramentu Ołtarza...

18 listopada. Wspólny obiad... zabrzęczały nakrycia, zatroskały się „marjanny” szukając talerzy... łyżeczek i t. p. Gwaro i rojno było na sali... Dzieliłyśmy się wrażeniami z rekolekcji, które, zawdzięczając pracy i staraniom naszego kochanego ks. Kanonika, zostawiły miłe i długotrwałe wrażenie...

21 listopada. Po południu sodaliski przywitały te dziewczynki, które dziś zostały przyjęte do Sodalicii. Przyjęły je serdecznie, śpiewem i przemówieniami.

Tegoż dnia obchodziliśmy 24 lecie święceń kapłańskich naszego drogiego ks. Kanonika.

Po kolacji piąty kurs wyraził swe podziękowania ks. Kanonikowi śpiewem i przemówieniem kol. J. Służewskiej, prezeski Koła Samokształcenia „Jedność.” Następnie w imieniu Sodalicii przemówiła kol. M. Strzelecka. Poczem wygłosiły deklamacje (utwory własne) kol. F. Stulikówna, kol. K. Raczkowska, kol. H. Rymarczykówna.

Na zakończenie odegrano staraniem grupy Towarzystwo Sportowej — jednoaktówkę Fredry p. t. „Kalosze.”

29 listopada. Andrzejki... wieczór wróżb i czarów... lanie wosku, pisanie imion i sentencji.

Grupa Towarzystwo Sportowa zorganizowała w swem gronie wróżbę — cyganki (a raczej cyganiatka) i guślarza, oraz wiele innych tych tradycyjnych a miłych wróżb... W sypialniach palono papier, ustawiano buty... a przede wszystkim gromadzono pod poduszkami kartki, których treść na drugi dzień miała być ujawniona...

6 grudnia rozpoczęły się dla IV i V kursu wykłady przyjezdnych P.P. Prelegentów o zakładaniu Stowarzyszeń Młodzieży.

Wieczorem przyszedł do nas św. Mikołaj w towarzystwie aniołków i... djabełków. Aniołki bardzo ładnie deklamowały — a djabełki płały figle i jeden z nich powiedział, a raczej wykrzyczał kogucim głosem monolog, wyśmiewający nasze wady...

Poczem św. Mikołaj wszystkim obecnym rozdał prezenty i, żegnając serdecznie, zapewniał, że za rok odwiedzi nas znowu.

Redaktorka odpowiedzialna: Irena Bagińska.

Adres Redakcji: SEMINARIUM NAUCZ. ŻEŃSKIE W MARJÓWCE P. PRZYSUCHA.
PRENUMERATA ROCZNA 2,50 z PRZESYŁKĄ 3 zł..

Druk szkoły rzemiosł w Marjowce.